

Dr. JAN BOBRZYŃSKI

„GRUBA BERTA”

ODPÓR „NASZEJ PRZYSZŁOŚCI”

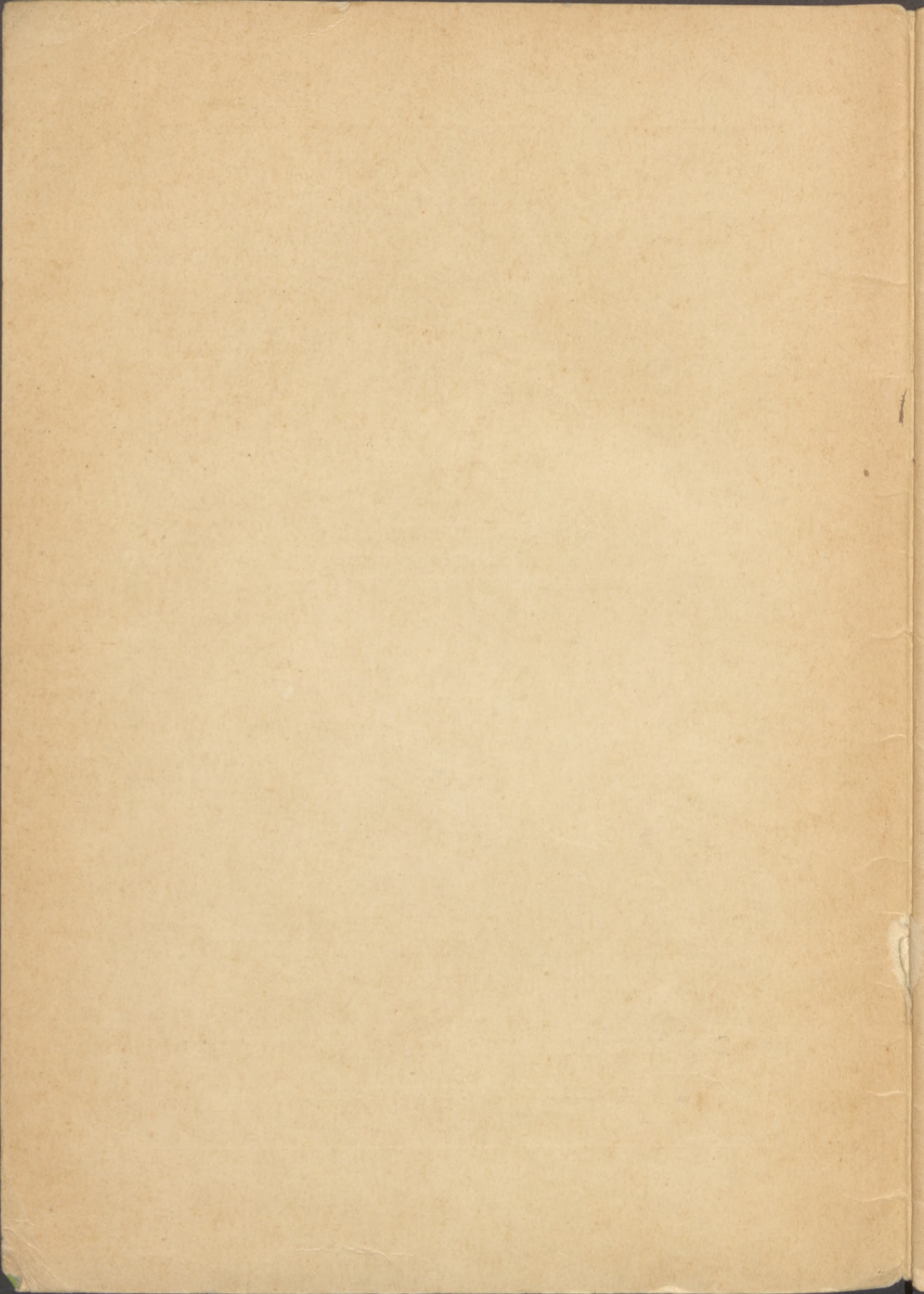
NA ATAK P. STANISŁAWA STROŃSKIEGO
I NIEKTÓRYCH INNYCH PRASOWCÓW

NAKŁADEM REDAKCJI MIESIĘCZNIKA
„NASZA PRZYSZŁOŚĆ”

o r a z

ZWIĄZKU POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

WARSZAWA, CZERWIEC 1936



Dr. JAN BOBRZYŃSKI

„GRUBA BERTA”

Z księgozbioru
ś. p. prof. W. Makowskiego

ODPÓR „NASZEJ PRZYSZŁOŚCI”
NA ATAK P. STANISŁAWA STROŃSKIEGO
I NIEKTÓRYCH INNYCH PRASOWCÓW

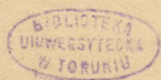
NAKŁADEM REDAKCJI MIESIĘCZNIKA
„NASZA PRZYSZŁOŚĆ”

o r a z

ZWIĄZKU POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

WARSZAWA, CZERWIEC 1936

D. 455/47



Co to jest Gruba Berta?

Mylnie sądzi wielu, że to owa dalekonośna armata, która ostrzeliwała Paryż z przeszło stukilometrowej odległości. Omyłka. To działo było bowiem długie i smukłe.

Natomiast Gruba Berta, to ów olbrzymi moździerz o średnicy 42 cm, który z początkiem wojny światowej, zbudowany potajemnie w zakładach Kruppa, kruszył z łatwością graniczne twierdze belgijskie. Ale Verdun nie był w stanie zdobyć, gdyż tam, oprócz męstwa i patryjotyzmu, którego nie brakło i twierdzom belgijskim, była nadto jeszcze wielka, potężna, na długiej tradycji oparta idea wojskowa i szkoła hartu bojowego, której z dnia na dzień stworzyć niepodobna, bo na nią złożyć się muszą całe pokolenia.

Gruba Berta, apokaliptyczne narzędzie zniszczenia, znikło — zdawałoby się — z końcem wojny światowej. Nieprawda — ukazało się bowiem nagle dnia 9-go maja b. r. na dziedzińcu Kurjera Warszawskiego, skąd pod osłoną grubych murów budynku dało strzał w kierunku siedziby redakcji „Naszej Przyszłości“.

Z piekielnym świstem przeleciał ciężki granat ponad morzem kamienic Warszawy, strasząc płochliwych mieszkańców i pękł z hukiem gdzieś w oko-

licach siedziby naszego wydawnictwa, nie dosięg-
nąwszy go wcale, ale tylko obryzgując je nieco
błotem z trafionej przypadkiem kałuży.

Gruba Berta w Kurjerze? — spyta zdziwiony
czytelnik. — Gdzie, skąd, jak?

Wyjaśniamy.

Odegranie potężnej a zaszczytnej roli apokalipty-
cznego działa przypadło p. Stanisławowi Strońskiemu.
A wystrzelonym granatem był jego artykuł w Kur-
jerze Warszawskim p. t. „Majaczenia na jawie“, ja-
ko niby odpowiedź na wydany w kwietniu tom
XLVII „Naszej Przyszłości“, w którego jakimś
ubocznym, wyszperanym spośród trzystu stron
druku fragmencie, wyrwanym bez związku z całością
danego artykułu i całego tomu i wyśrubowanym
sprytnie a fałszywie do tragicznych rozmiarów, do-
patrzył się p. Stroński karygodnego „germanofil-
stwa“ i defetyzmu z naszej strony i dlatego odesłał
nas dosłownie „do wszystkich biesów“.

P. Stroński, wprawny może w obsłudze karabi-
nów maszynowych i w rzucaniu drobnych pocisków
z gazami trującymi przeciw lekkim partyjno-poli-
tycznym tyraljerkom nieprzyjacielskim, okazał się
zupełnie niezdolnym i niezorjentowanym w obsłu-
dze ciężkiej artylerji. Nie zastanowił się bowiem
i nie zorientował w tem, że atakuje tym razem nie
jakąś efemeryczną partyjkę, złożoną — jak to zwy-
kle bywa — ze słabych oportunistów, żądnych ka-
rjery poselskiej, czy tłustych posad lub innych po-
ziomych korzyści, ale ideę i szkołę, dla której takie
względy nie istnieją, ale która daleko głębsze ma
podstawy, tradycję i moc odporu i której dlatego
zwykłym, partyjno-politycznym wystrzałem dzien-
nikarskim zabić, ani nawet uszkodzić niepodobna.

Mistrzowska technika b. posła Strońskiego, za-
prawiona w szermierce kularów sejmowych i par-

tyjnych, zawiadła tym razem zupełnie wobec przeciwnika całkiem innego autoramentu i kalibru.

Obryzgała tylko nieco błotem. No, ale to przecież każda przejeżdżająca dorożka potrafi. Błoto czyści się szczotką i — koniec.

A jak przyszło do tego niefortunnego strzału?

Otóż tedy przypominamy szanownym czytelnikom, jakie to ostrzeżenie wystosowała swego czasu „Nasza Przyszłość“ pod adresem wybitnego współredaktora Kurjera Warszawskiego, p. Bolesława Koskowskiego, który zaczepił ją złośliwie? Odpowiedziała mu wówczas: „My was nie zaczepiamy, ale i wy hands off od Naszej Przyszłości!“

P. Koskowski nie posłuchał tego stanowczego, ale bądź co bądź lojalnego ostrzeżenia. Wypalił niespodziewanie w kwietniu b. r. ironiczny przeciw nam artykuł, którego sens kulminował ostatecznie w tem, że w Polsce niema słowianofilów, we Francji prawie niema komunistów, a Nasza Przyszłość jest ignorantką w sprawach polityki zagranicznej.

Ponieważ atak ten uderzył w nas właśnie w momencie i z racji podjętej przez nas walki z bolszewizmem, który — jak powszechnie aż nadto dobrze wiadomo — wali teraz na Polskę i Europę z niesłychanie wzmoczoną siłą, przeto, nie wdając się zwykle w polemiki z dziennikarzami, a tem mniej w polemiki osobiste, musieliśmy jednak odpowiedzieć p. Koskowskiemu stosownym kontratakiem, aby sparaliżować konkretną przeszkodę, która stanęła nam na drodze w planowej walce z bolszewizmem i z temi wszystkimi „obcemi agenturami“ w Polsce, które bezpośrednio lub pośrednio, z wiedzą lub bezwiednie pełnią perfidne zamiary Kominternu i różnych jego zagranicznych, zwłaszcza czeskich placówek. Wydaliśmy znaną czytelnikom broszurę w białoczerwonej okładce pod groźnym, ale ściśle

prawdzie odpowiadającym tytułem „Druga inwazja czerwonej Moskwy“. W broszurze tej, która rozeszła się gdzie należy w kilku tysiącach egzemplarzy, zamieściliśmy, oprócz dokładnego przedstawienia całokształtu obecnego niebezpieczeństwa bolszewickiego, także odpowiedni, spokojnie i rzeczowo ujęty, a na bezspornych faktach oparty list otwarty do p. redaktora Koskowskiego.

Zawrzało w redakcji Kurjera Warszawskiego i w popierających go kołach, jak w ulu. Zaatakowany redaktor, bezsilny wobec nieznaney sobie dotąd, ponadpartyjnej metody ujmowania przez nas problemów, na którą nie był w stanie znaleźć kontrargumentów, wezwał na pomoc — a może uczynili to inni — najcięższe działo z endecko-pisarskiego obozu: p. Stanisława Strońskiego. Już widocznie bardzo źle być musiało, jeżeli sprowadzono aż tak ciężką kolubrynę, mającą kruszyć twierdzę Naszej Przyszłości!

P. Stroński — najbardziej cięte pióro w swoim obozie — ruszył do ataku 9-go maja. Ale pomściła się tu na nim cała jego przeszłość i mentalność polityczno-publicystyczna — nastawione wyłącznie na krytykę, a pozbawioną wszelkiej zdolności i umiejętności pozytywnego, twórczego pisanja i działania.

Endecja bowiem, w najszerszem tego pojęcia znaczeniu, wzrosła i żyje wyłącznie tylko negacją, a zupełnie jest niezdolna cośkolwiek pozytywnego, dodatniego, prawdziwie użytecznego w niepodległym państwie stworzyć.

To też duch ten zasadniczej negacji — ein Geist, der stets verneint — podyktował p. Stanisławowi Strońskiemu szereg przeciw nam skierowanych argumentów zdawkowo dziennikarskich, które w rzeczywistości żadnymi nie są argumentami, żadnej z tez i faktów, przez nas przytoczonych, nie zbijają,

ale stanowią tylko najpospolitszą, partyjno-dziennikarską szermierkę pióra, a kończą się rozpaczliwym, bezsilnym, z oberży zaczerpniętym okrzykiem: Idźcie z taką polityką do wszystkich biesów!

A nam się zdaje — nawet pewni tego jesteśmy — że nie my z naszą polityką do „wszystkich biesów“ idziemy, ale, że wiodłaby do nich Polskę polityka i taktyka w rodzaju tej, jaką ze ślepym uporem uprawia właśnie p. Stroński i różni inni ludzie i sfery, bądź do niego sympatjami partyjnemi zbliżone, bądź nawet bardzo nieraz od niego odległe, niemniej jednak dziwnym wspólnym rytmem współdziałające na najoczywistszą szkodę państwa, a nawet polskości.

Rzecz niestety jasna i prosta. Niezawsze bowiem — najczęściej nawet źle — służy się ojczyźnie tak zwanym hurra-patrjotyzmem i tromtadracją dziennikarską i buńczucznym wymachiwaniem biało-amarantowemi chorągiewkami z papieru, sprzedawanymi na ulicach w czasie różnych uroczystości narodowych. Poważny polityk-patrjota winien, przeciwnie, zastanowić się nieraz dobrze nad tem, czy utarte, popularne haselka patryjotyczne rzeczywiście wskazują na racjonalny w danej epoce kierunek myśli i polityki państwowej?

Otóż, rozmowa między politykiem tej miary, jak p. Stanisław Stroński, a tak zorientowanym we wszelakich zakamarkach politycznych przedstawicielem pewnej, nieco głębiej sięgającej myśli o państwie, jakim jestem — nie z własnej zasługi, ale z wykszolenia, otrzymanego przez lat dziesięć w wielkiej ongiś naukowej i politycznej szkole — inną być musi, daleko bardziej integralną i szczerą, niż te drobne polemiczki sejmowe i prasowe, do których przywykł p. Stroński w aktualnym życiu partyjno-politycznym.

Należy szeroką opinię publiczną w kraju, która chwilowo kompletnie zdezorjentowana i zmylona została atakiem na Naszą Przyszłość i na mnie ze strony p. Strońskiego i szeregu innych jeszcze publicystów w dziennikach i dzienniczkach, odrazu zorjentować gruntownie, o co właściwie chodzi. Zrobiono nam bardzo sprytnie zarzut germanofilstwa i defetyzmu wobec Niemiec — i to nie na podstawie jakiegoś wyraźnego z naszej strony twierdzenia, lecz perfidnem wyrwaniem paru zdań, czy zwrotów z ostatniego tomu Naszej Przyszłości, bez związku z całością i z tendencją danego artykułu i tomu i wykręceniem, wyolbrzymieniem tego drobnego fragmentu do rozmiarów napuszonego, kłamliwego, wyraźnie oszczerczego oskarżenia o „zdradę kraju“. Nie zważano zupełnie na to, że „Nasza Przyszłość“ zajmuje stale mocne i twarde stanowisko wobec wszelkich państw obcych, podnosząc z zasady zawsze wysoko swą wiarę w moc i niespożytą żywotność wskrzeszonej Polski, wzywając na tej podstawie do prowadzenia prawdziwie niezależnej, żadnym sielankowym sentymentem, ani obawą nie dyktowanej polskiej polityki zagranicznej i drwiąc nie raz nawet z tych rodaków, którzy zbyt czolobitność wobec jakichkolwiek cudzoziemców okazują, zwłaszcza wobec tych, od których ma się nadzieję uzyskać pieniądze. Nie zważano na to, że „Nasza Przyszłość“ z reguły mocną wobec Niemców zaleca zawsze postawę, czujność z bronią u nogi i metodę okazywania im w niezbędnych stosunkach między państwowych wielkiej pewności siebie i siły, gdyż Niemcy — a zresztą i wiele innych narodów — tylko siłę cenią i tylko z silnym się liczą. Wszak „Nasza Przyszłość“ wyrosła ideowo na gruncie wielkiej historycznej szkoły, która ze słusznym realizmem twierdziła, że polityka międzynarodowa tylko z sil-

nym na serjo się liczy. Pominęto też, że w tymże samym tomie „Naszej Przyszłości“ znajduje się specjalny artykuł, poświęcony ewentualnym perspektywom stosunków polsko-niemieckich, który tak twarde zajmuje wobec Niemiec hitlerowskich stanowisko, że zupełnym jest absurdem — i wprost złą wolą — posądzać mnie i „Naszą Przyszłość“ o defetyzm wobec Niemców.

Cały więc zarzut, postawiony nam w tych warunkach przez p. Strońskiego, a powtórzony przez szereg szczekliwych dzienników, bezmyślnie lub ze złą wolą, zbudowany jest na zakłamaniu, na perfidnem wykręceniu i wyolbrzymieniu jakiegoś wyrwanego gdzieś zdania, może przypadkiem stylistycznie słabszego, a więc na bardzo kruchej skonstruowany jest podstawie i graniczy z oszczerstwem.

Dlatego przeciw tak potwornemu zarzutowi i przeciw tego rodzaju polemicznej publicystyce ze strony ludzi, którzy mają pretensje uchodzić za poważnych, jak najkategoryczniej protestuję i piętnuję publicznie insynuacje tego rodzaju.

To samo kieruję przeciw p. Rzymowskiemu z Kurjera Porannego, przeciw anonimowemu autorowi, atakującemu mnie złośliwie z kolumn podstarzałego „Czasu“ i przeciw wszystkim tym, którzy podobne, obelżywe absurda i kalumnje rozposzechnili. Jestem bezwzględnie pewien — i mam poważne potemu dane — że główni moi oskarżyciele prasowi doskonale wiedzą, iż daleki jestem od wszelkiego defetyzmu i „germanofilstwa“, tembardziej, że w ciągu sześciu lat swego istnienia „Nasza Przyszłość“ piętnowała nieraz wszelkie „filstwo“ wobec obcych jako pogardy godny dowód słabości charakteru i niewiary w moc i żywotność Polski.

Dlaczego więc cały ten atak? — spyta zdumiony czytelnik.

Zaraz wyjaśnimy i to „integralną“ metodą „Naszej Przyszłości“, która w wypadkach tego rodzaju nie zna żartów, nie uznaje żadnych dziennikarsko-dyplomatycznych subtelności i wykrętów, ale wali toporem tam, gdzie trzeba — w samo sedno sprawy.

Otóż, mimo wszelkich pozorów, stworzonych przez p. Strońskiego i jego niefortunnnych współtowarzyszy lub naśladowców dziennikarskich, jakoby chodziło im o jakieś moje wyrażenie w sprawie polsko-niemieckiej, mimo całej napuszonej, hurrapatrjotycznej emfazy, z jaką niby w tej sprawie na mnie gromy ciskają, wyzyskując nieświadomość szerszych sfer swych czytelników — wcale o tę sprawę w gruncie rzeczy nie chodzi. To wszystko ma na celu tylko odwrócenie uwagi czytelnika „Naszej Przyszłości“, a zwłaszcza czytelnika wydanej przez nas dodatkowo w tysiącach egzemplarzy broszury „Druga inwazja czerwonej Moskwy“, od właściwego tematu, którym „Nasza Przyszłość“ od pewnego czasu ze szczególną wnikliwością się zajmuje. Chodzi o niezmiernie doniosłą sprawę, o uchronienie Polski od prawdziwego, realnego, bezpośredniego niebezpieczeństwa, daleko w tej chwili groźniejszego od ewentualnych horoskopów wojny z Niemcami, mianowicie:

o uchronienie Polski przed dostaniem się pod polityczny wpływ Rosji sowieckiej przez nacisk bolszewizujących się sfer politycznych Francji.

Odezwa Kominternu, wydana na dzień 1-go maja b. r., wskazuje na Polskę, Niemcy i Japonję, jako na główne przeszkody, stojące na drodze pomyślnemu rozwojowi propagandy „rewolucji światowej!“ W kierunku tych państw winna więc propaganda sowiecka jaknajwiększy rozwinąć wysiłek, dążąc przedewszystkiem do obalenia swego największego

w Europie przeciwnika, jakim jest — według tej odezwy — nacjonalizm niemiecki. A na drodze ekspansji na zachód pierwszą, wielką przeszkodą jest dla akcji Kominternu Polska.

Odżywa więc z całą mocą, planowo, międzynarodowa akcja bolszewizmu, co zresztą i wewnątrz naszego państwa i od zewnątrz aż nadto dotkliwie odczuwamy. Pragną Sowiety wywołać wojnę i rewolucję światową, ale nie ryzykując angażowania w tem bezpośrednio swych sił, aby w tak gigantycznej i hazardowej imprezie nie stawiać swej egzystencji na jedną, własną kartę, lecz przy pomocy zewnętrznej propagandy i różnych swych jacejek, stronników, narzędzi i wpływów w tych wszystkich państwach, które dadzą się w tych celach odpowiednio podminować. Radaby Sowdepja sprowokować także i Polskę do konfliktu z Niemcami, czy z jakimkolwiek innym, opornem bolszewizmowi państwem, wyczekując bezpiecznie momentu, odpowiedniego dla wyzyskania dla siebie bez żadnego ryzyka owoców tej prowokacji.

Polska, przejrzawszy oddawna te zamiary, złożyła wyraźnie dowody, że nie da się użyć za tego rodzaju narzędzie i że czujna jest i oporna nie tylko na bezpośrednie, ale i na pośrednie podnieci Kominternu, który w rzeczywistości jest niczem innym, jak tylko „prywatnem obliczem“ sowieckiego rządu. Ale, wzamian za niepowodzenia w Polsce, zdołał w statnich czasach zwiększyć Komintern wpływ swój na Czechosłowację i niestety także we Francji, czego aż nadto jaskrawym dowodem są ostatnie wybory i chwycenie francuskich rządów w rękę przez tamtejszy „front ludowy“ pod komendą pozornie socjalistów, a w rzeczywistości komunistów, a więc — Moskwy.

W takich warunkach mógł Komintern podjąć próbę, narazie bardzo jeszcze zamaskowaną i okrężną, zyskania na Polskę wpływu inną drogą — przez Paryż.

Polska potrzebuje pieniędzy. Rzecz znana. Potrzebują ich też i poszukują różne inne państwa, choćby takie tryumfujące po zwycięskiej wojnie Włochy. Sprawa pospolita na rynku międzynarodowym i niema w tem nic dziwnego, ani wstydliwego. Przeciwnie — obyśmy jak najprędzej na możliwie korzystnych warunkach jakąś pożyczkę, czy kredyty uzyskali!

Ale nie za bezwzględnie każdą cenę, a już w żadnym razie nie za cenę utraty naszej suwerenności i poddania się w polityczną zależność od jakichkolwiek cudzoziemców, przyczem i tego nie wolno tracić z oczu, że uzależnienie się polityczne od pewnych obcych czynników, groziłoby nam w dodatku także jeszcze i moralnem zniszczeniem.

Otóż przeciw takiej podwójnie złej ewentualności: pewnego politycznego uzależnienia oraz otwarcia drzwi naścież gangrenie wywrotowej zwróciła się „Nasza Przyszłość“ w swym poprzednim tomie. Bezkrytyczne bowiem frankofilstwo różnych sfer w Polsce, nie liczące się zupełnie z rzeczywistą rzeczywistością dzisiejszej Francji, popadającej coraz bardziej pod władzę najskrajniejszych społecznie żywiołów, z komunistami na czele, wyciągać zaczęło rękę o pieniądze, czy kredyty francuskie, tak, jakgdyby była to jeszcze dawna Francja, z Polską nietylko formalnie, ale i serdecznie sprzymierzona.

A tymczasem nawpół zbolszewizowana Francja polityczna towarzysza Bluma dała do zrozumienia, że ewentualnie zgodziłaby się dać Polsce jakieś tam kredyty — ba, nawet ponoć z nimi się narzuca —

ale pod warunkiem, że Polska grzecznie i posłusznie przystąpi do sojuszu francusko-sowieckiego.

No, nie potrzeba wielkiej fantazji, ani daru politycznego przewidywania, żeby uprzytomnić sobie, co by w takim wypadku nastąpiło. Prostu rozszerzenie owej czerwonej wstęgi, którą bolszewizm rozciąga już od Władywostoku przez Pragę i Paryż aż do Madrytu, także i na Polskę. Bo Francja daleko i w dodatku rządzona w tej chwili przez żydowskich socjalistów, komunistów i wrogich Polsce masonów, ale blisko nas są Sowiety i zależna od nich coraz bardziej Czechosłowacja. Do takiej więc roli wasala Sowieców, jak Czechosłowacja, musiałaby zejść i Polska w ostatecznym rezultacie, gdyby poszła na tę arcysprytną finansowo-bolszewicką kombinację. I na nic wówczas nie zdałby się krzyk i wrzask bezkrytycznych hurra-patrjotów, na nic nie zdałoby im się pełne emfazy i donkiszockiego sentymentalizmu apelowanie do „tradycyjnej przyjaźni polsko-francuskiej“ i do „słowiańskiego braterstwa“ z Czechami. I w dzisiejszym Paryżu i w Pradze i zwłaszcza na Kremlu wyśmianoby się z bezdennej naiwności „mądrych Polaków po szkodzie“.

Otóż przeciw tej kombinacji i tej samobójczej perspektywie, ku której popchnąć chcą państwo nasze różne złoćzynne „obce agentury“, ich posłuszne, a nieraz całkiem bezwiedne narzędzia w kraju, a zwłaszcza rozmaite, dobrze nam znane, zakonspirowane po zakamarkach politycznych i prasowych mafje, a obok nich tępi, ślepi, uparci, zakostniali w bezmyślnych orjentacjach franko-filskich i słowianofilskich partyjnicy, wystąpiła „Nasza Przyszłość“ zdecydowanym uderzeniem, demaskując całą tę złowrogą z jednej, a głupią z drugiej strony tendencję.

I przez to zawrzało, jak w ulu i przez to właśnie podniósł się z różnych stron ten wrzask na „Naszą Przyszłość“ i jej wydawcę. A ponieważ trudno było przeciwnikom naszym ujawnić, o co im naprawdę chodzi, więc obrzucono nas kamieniami „germanofilstwa“, aby tem sprytniej zamaskować istotną prawdę.

Jeżeli więc ma być mowa — jak tego chcą nasi przeciwnicy z pod znaków różnych mafji — o „zdradzie kraju“, to juści nie my jesteśmy tymi zdrajcami, bo zarzucanemu nam defetyzmowi wobec Niemców bynajmniej nie hołdujemy, ale chyba ci, którzy naprawdę, ze zbrodniczą lekkomyślnością, a gdzieniegdzie może i z jeszcze bardziej zbrodniczą premedytacją chcą pchać Polskę pod zbolszewizowany protektorat rosyjsko-czesko-francuski.

A już zgola narkotyzuje przed tem niebezpieczeństwem biedną opinię publiczną paradoksalna okoliczność, że przykładają rękę do takiej roboty — wierzymy, że bezwiednie! — ludzie, którzy chadzają wobec tłumów przybrani w togi pompatycznego patriotyzmu, a nieraz nawet w aureoli „filarów“ katolicyzmu! A obok tego robione są z różnych stron, różnemi drogami i pod różnemi hasłami bezmyślnie demagogicznie, a zarazem niesłychanie naiwne — w danych warunkach wprost głupie — wysiłki organizowania w Polsce lewicującego „frontu ludowego“, a więc ślepe małpowanie socjalistów i bolszewików francuskich, aby tylko Francuzom się przypodobać, ich łaski uzyskać i wymodlić dla „wiecznie żebrzącej Polski“ (pour la Pologne toujours mendiante) — jak nas bodajże słusznie od przeszło stu lat na zachodzie nazywają — parę milionów franków!

No, szczerą prawdę mówiąc, z tych franków zobaczą figę nasi domorośli, dziecinni propagatorzy

„frontu ludowego“, bo warunek franko-bolszewicki jest wyraźny: albo poddanie się pod komendę franco-sowiecką, albo nic! Ale tymczasem, jako jedyny realny rezultat tego wszystkiego, wzmagają się „lewicowanie“ różnych gazet, stronnictw, organizacji i sfer w kraju, jak gdyby zbiedzona kryzysem i przeżerana od salonu do chaty bolszewizmem Polska nie miała już aż nadto tej „lewicowości“ w swoim inwentarzu!

Otóż temu wszystkiemu, całej tej spryckiarsko-dziecinno-zbrodniczej, nawskroś antypaństwowej w swych konsekwencjach kombinacji stanęła zapórą „Nasza Przyszłość“ w całym swym poprzednim tomie, demaskując bez pardonu to wszystko, co świadomie lub nieświadomie popiera tę bolszewicką robotę. I stąd wściekłość na nas ze wszystkich stron, stąd grad oskarżeń absurdalnych, w które oczywiście sami oszczercy nie wierzą. Wmawia się w szarego człowieka z ulicy, że jesteśmy jakimiś faszystami, czy hitlerowcami, czy defetystami, czy wprost „zdrajcami“.

Potworne oszukiwanie biednej opinii publicznej! A my przecież, absolutnie wolni od wszelkich doktryn partyjno-politycznych, krajowych czy zagranicznych, stawiamy tylko veto przeciw zaprzęgnięciu Polski bolszewikom i ich sprzymierzeńcom francuskim, czeskim i t. p. za naiwną nadzieję, że w ten sposób będzie można uzyskać srebrniki od francuskiego „frontu ludowego“.

Ot, co jest istotnym powodem zrzeszonej ofensywy dziennikarskiej na „Naszą Przyszłość“, na niżej podpisanego i na głębiej we wszystkie sprawy wnikający Związek Polskiej Myśli Państwowej, któremu mam zaszczyt przewodniczyć.

A w całą tę olbrzymią, a zabójczą dla Polski „kombinację“ wpadł po szyję obóz „narodowy“,

przywłaszczający sobie rozgłośnię jakiś monopol patriotyzmu i katolicyzmu — w rzeczywistości oczywiście tylko pseudo-katolicyzmu. Bo prawdziwy katolicyzm, powszechny i nadrzędny, nie jeździ w rydwanie jednej partji. Wykorzystują tę okoliczność bardzo zręcznie komintern, masonerja i wszelakie antyreligijne i antypolskie mafje w kraju i zagranicą, ciesząc się niezmiernie z tego, że „ludzie w narodowej aureoli“, jak p. Stanisław Stroński i jemu podobni Katoni narodowej cnoty, piewcy polskiego „przedmurza chrześcijaństwa“, dzielnie im pomagają, rzucając się zaciekle na każdy trzeźwy głos zdrowego rozsądku, który nie otrzymał wizy owych mafji sowiecko-czesko-słowiańsko-francusko-żydowsko-masońskich. Bo w najgłębszym gruncie rzeczy — stwierdzamy to na tem miejscu twardo i bezdyskusyjnie — aby coś w dzisiejszych czasach otrzymało w Polsce aprobatę lub choćby tylko przychylność obozu „monopolu patriotyzmu i katolicyzmu (?)“, musi wylegitymować się wizą wyżej wymienionego koncernu „obcych agentur“.

Tak jest w istocie. P. Stroński wie o tem doskonale i dlatego miota się w bezsilnych argumentach, a nie mogąc z nich wybrnąć, wzywa dosłownie przeciw nam na pomoc „wszystkich biesów“. Żle jest widocznie z argumentacją p. Strońskiego, skoro aż djabłom musi oddawać w zastaw swe pióro. Niech baczy, aby, w ostatecznym rezultacie swej politycznej mentalności i kariery, nie spostrzegł się pewnego dnia, że oddał im nieopatrznie i — samego siebie!

Narazie jednak, jako polityk = publicysta, naśladowuje owego footballistę, który w czasie niedawnego meczu w Krakowie, wobec widocznej już przegranej swej drużyny, nie znalazł innego ratunku, jak napluć w twarz sędziemu!

Polemizować z argumentami p. Strońskiego, opartymi na tych podstawach i skutkach w takie więzy, oczywiście niepodobna. P. Stroński bowiem — typowo endecką metodą, w której mistrzem był Dmowski — na wszystko, co jest prawdą, mówi, że to nieprawda. Chcąc więc dogodzić p. Strońskiemu i wielu publicystom i działaczom z jego obozu, musielibyśmy przyznać, że komunizm nie uprawia obecnie szalonej agitacji w Polsce, że zacni nasi bracia czescy nie są wasalami Sowiec, że we Francji nie rządzą socjaliści i komuniści, że Polska winna zerwać raczej z całym światem i przyłączyć się posłusznie i pokornie do przymierza francusko-czesko-rosyjskiego w pakcie wschodnim, patronowanym przez bolszewików, że Czesi nie zrabowali nam zdradziecko lepszej połowy Śląska Cieszyńskiego, że nie prześladują Polaków i Słowaków, że idea szczepowo-słowiańska nie jest zatruta bolszewizmem, ale dostarczy nam w razie czego milionów sprzymierzeńczych żołnierzy i tysięcy armat przeciw „szczepom germańskim“, że komintern nie rzuca milionów, aby prowokować lub podniecać krwawe rozruchy w Polsce, że trzeba wygnać lub wyrzucić najmniej trzy miliony polskich Żydów, ale zato słuchać pokornie masońskich lub bolszewizujących żydków francuskich, a zwłaszcza padać na twarz przed „arystokratycznym“ Blumem — jako obecnie prawdziwym „kwiatem“ francuskiej wielkiej tradycji i kultury i t. d. i t. d.

To wszystko i różne inne jeszcze podobne rzeczy musielibyśmy przyznać, jako „endecką prawdę historyczną“, aby pozyskać łaskawe względy p. Strońskiego i jego towarzyszy. Musielibyśmy nadto zgodzić się w zasadzie na zawieranie każdej chwili unji z kimkolwiek bądź, nawet z socjalistami, o ile to w danej chwili kombinacjom polityczno-wybor-

czym obozu „monopolu patryjotyzmu i katolicyzmu (?)“ będzie odpowiadać.

No, a my tego wszystkiego p. Strońskiemu i jego towarzyszący obozowym absolutnie przyznać nie możemy! Bo wszystko to na oczywistej nieprawdzie jest oparte i wcale nie trzeba być „sanatorem“, ani „pilsudczykiem“, aby stwierdzić odrazu, że cała ta „combinazione“, to jedno wielkie zakłamanie i polityczna blaga, jeżeli nie coś jeszcze gorszego. Więc poco strzepić ozór niepotrzebnie!...

Natomiast coś innego podnieść możemy z otwartą przyłbicą wobec opinii publicznej, o ile to biędnactwo, obalamucone i steroryzowane przez gładiatorów pióra, wogóle jeszcze w Polsce istnieje. Niech czytelnik skonstatuje bezsporne zjawisko, że wraz z niedoleżnym na nas atakiem ze strony p. Strońskiego — któremu wobec nas dziwnie jakoś pióro stępało — rzucili się na nas z kamieniami i oszczerstwem „zdrady kraju“ gazeciarze ze wszystkich obozów w rozczulającej harmonji. Konserwa, sanacja, endecja, chadecja, socjaliści, nawet pewne sfery żydowskie. Czego dowodzi ten niebywały w życiu partyjno-dziennikarskim koncert symfoniczny?

Dowodzi wyraźnie trzech rzeczy.

Najpierw, że stoimy istotnie ponad partjami. Ten grad kamieni, jaki nas spotkał ze wszech stron, to błyszczący dowód naszej niezależności, czemu dotąd zrutynizowana w partyjnych rubrykach prasa i opinia nie dawały wiary. Teraz dowód złożony jest bezspornie, urbi et orbi. Teraz nikt już nie może uważać nas za agentów, czy bezwolne kukły jakiegokolwiek partji, czy grupy i to tem mniej, że rzucił się na nas także lewiatanowski „Kurjer Polski“. Nasza rola jest ta, którą oddawna ogłosiliśmy słowem i drukiem, mianowicie samorzutnych pionie-

rów polskiej idei państwowej z prywatnej strony, idących w pracy „przed rządem i społeczeństwem“.

Powtóre, jeżeli krzyczą na nas różni, którzy pozatem żrą się zaciekle i zasadniczo między sobą i diametralnie sobie przeciwne mają na politykę państwową i społeczną zapatrywania, to chyba — my znaleźliśmy linię właściwą, linię złotego środka! Chyba my mamy, wśród powszechnego żarcia się i skowytu, prawdziwą rację! I może być czytelnik pewien, że ją mamy. Może być pewien, że nie tylko z polityką naszą nie pójdziemy „do wszystkich kiesów“, jak nam tego życzy p. Stroński, ale przeciwnie: polityka polska pójdzie ostatecznie w tym kierunku, jaki wskazujemy. Bo, zaprawieni w dobrej szkole, znamy nieco trudną sztukę wyczuwania organicznych wymogów narodowego i państwowego położenia i umiemy odrywać się od chwilowych sytuacji i chwilowej mody i sięgnąć ponad nie nieco w dal. Ale mówię tu o tej oczywiście linii, po której faktycznie idziemy, nie zaś o tych absurdach, które nas zawiedzeni i zdemaskowani zwolennicy lub bezwiedne narzędzia „frontu lewicowego“ w Polsce oskarżają.

A po trzecie okazuje się w całej pełni, jak szeroko sięgają już pośrednie wpływy „obcych agencji“ w naszym kraju. Wpływy, dla wielu ich narzędzi, niestety, jeszcze niedostrzegalne, ale dla nas całkiem widoczne i w różnych występujące argumentach i postaciach. Na pierwszy rzut oka, bezkrytyczny, nie poinformowany głębiej o istotnej sytuacji czytelnik mógłby mniemać, że skoro wszystko — albo prawie wszystko — na nas się rzuciło i to z tak zaciekle ujadaniem, to jest to może „żywiolowy odruch zharmonizowanego partjotyzmu narodowego“, piętnujący „germanofilów“. Tylko, że brak

przedewszystkiem temu „odruchowi“ prawdziwej i uczciwej podstawy: bo każdy, kto „Naszą Przyszłość“ czyta, ten wie dobrze, że nie jest ona wcale germanofilską i wyśmiewa wszelkie wogóle „filstwo“ względem obcych, każde płaszczenie się przed etranżerami, jako dowód słabości charakteru i niewiary w moc własnego państwa. Wiadomo dobrze, że ani germanofilstwa, ani rusofilstwa, ani frankofilstwa, ani słowianofilstwa, ani anglofilstwa, ani italoofilstwa, nie uprawiamy i przestrzegamy stanowczo porywczych a naiwnych rodaków, żeby się przez różnych cudzoziemców nie dawali nabijać w butelkę. A już z druzgocącą ironją traktujemy każdy objaw defetyzmu w narodzie i z brutalną nieraz szczerością, łamiącą wszelkie trwożliwie-dyplomatyczne kurtuazje i formuły, wzywamy rodaków naszych, aby z suwerenniejszym odnosili się do obcych gestem, niż to, niestety, nieraz bywa.

I dlatego oskarżanie nas o defetyzm jest conajmniej złośliwym, oszczerczym paradoksem i stąd też oskarżenie takie ostać się nie może. Rozsypuje się jak domek z kart. Nic sobie też z niego nie robimy, choćby dalej jeszcze czekać na nas miano. Natomiast ów pozornie zgodny „odruch“ niektórych organów prasowych ma w rzeczywistości całkiem inne znaczenie: chciano z różnych stron piec sobie w chaosie obecnej sytuacji europejskiej różne w kraju pieczenie — w sosie lewicowym, socjalistycznym, bolszewickim, endeckim, radykalno-sanacyjnym, a przedewszystkiem finansowym za wszelką cenę. A „Nasza Przyszłość“, pełniąc wyznaczoną sobie w podtytule rolę „trybuny polskiej myśli państwowej“, stanęła okoniem tym różnym zamierzeniom. Nic więc dziwnego, że poszły zaraz w ruch różne anteny i zaczęto z hurrapatrjotycz-

nym rozmachem dzwonić na gwałt — żeby nie rzec: na giewałt!

Ha, trudno! Mieliśmy odwagę rozpętać burzę z dobrze zrozumianej polskiej racji stanu, to musimy mieć odwagę, cierpliwość i stałość burzę tę wytrzymać i przetrzymać. Zresztą w zaszczytnej pod tym względem jesteśmy kompanji. Czyż bowiem tromtadracja polska nie miotała i nie miota z zasady kamieni, a zwłaszcza zarzutów defetyzmu i „zdrady kraju“ kolejno na wszystkich wybitnych i zasłużonych ludzi? Czyż absurdalna, oszczercza plotka nie głosiła swego czasu, że ś. p. Marszałek, w chwili najzacieklejszych walk z najazdem bolszewickim — miał u siebie, w Belwederze, „tajne połączenie telefoniczne z bolszewikami“? Czyż bezmyślny ostracyzm hurrapatrjotów, zawodowych haselkowiczów, nie obrzuca błotem i nie usiłuje „zlikwidować“ każdego, głębiej myślącego człowieka, który coś pozytywnego chce dla ojczyzny zdziałać? Przeglądajmy życiorysy wybitnych patrjotów, którym dzisiaj stawia się pomniki! Prawie każdy z nich wycierpiał się srodze przedewszystkiem od własnych rodaków!

W dobrej więc, powtarzamy, jesteśmy kompanji.

A najlepszą, jedynie celową odpowiedzią na ataki i perfidne argumenty złych mocy, któreśmy poruszyli w ich zakonspirowanych jaskiniach, będzie z naszej strony niewzruszone kontynuowanie raz podjętej roli aż do skutku. Polska, jeżeli ma wzmacniać się, a nie pograżać w otchłań anarchji i zależności od obcych agentur — przeciw którym siła zbrojna sama przez się jeszcze nie pomoże — musi być konsekwentnie oczyszczona ze śmiecia. Żelazną miotłą!

I dlatego wzywamy wszystkich obywateli, bez względu na przekonania, czy orientacje polityczne lub społeczne, ale oczywiście tych tylko, którzy w sumieniu swem czują się naprawdę patriotami, aby zechcieli koniecznie z odpowiednim krytycyzmem, rozsądkiem i rezerwą odnosić się do różnych, nawet renomowanych ludzi i pociągających hasel, którzy i które czcigodnie i ponętnie wyglądają z pozorów, ale poza którymi kryje się albo próżnia frazesowa, albo — co gorzej — mniej lub więcej tajne, bezpośrednie lub pośrednie wpływy i machinacje wszelakich, wrogich polskości i religii agentur: żydowsko-masońskich, komunistycznych lub komunizujących oraz wprost sowieckich i ich różnych czeskich, francuskich czy innych narzędzi. A rozumieć to trzeba, że mafje te, opanowujące mackami swemi wielekroć partje polityczne, zrzeszenia społeczne i prasę, a czasem nawet wciskające się swymi wpływami do zrzeszeń religijnych, stanowią taki kunsztowny, a zdradziecki splot, że niewiadomo, gdzie kończy się nazbyt hałaśliwy tylko patriotyzm i z przesadną reklamą noszona marka religijna, a rozpoczyna masonerja i bezwyznaniowość, która przechodzi nieznacznie w judeo-socjalizm, komunizm, a wreszcie poprostu w służbę wrogich nam czynników zagranicznych.

Wogóle twierdzimy, że jeżeli źle jest dla Francji, iż rentjer tamtejszy, łudząc się wciąż nadzieją odzyskania pożyczonych ongiś carskiej gospodarce miliardów, gotów jest zawrzeć pakt z samym nawet Lucyperem, gdy ma nadzieje odzyskać przez niego swe pieniądze, nie bacząc, że otwiera przez to wrota bolszewickiej gangrenie, stokroć groźniejszej naprawdę od tak popularnego we Francji „niemieckiego niebezpieczeństwa“ — to Polak, umiejscowiony geograficznie na bardzo eksponowanej

na wszelakie niebezpieczeństwa placówce, winien być mądrzejszy (tak jest, mówię wyraźnie: mądrzejszy od francuskiego burżuja!) i opancerzyć się, w poczuciu swej prawdziwej roli przedmurza cywilizacji, przed wszelkimi wewnętrznymi i zewnętrznymi wpływami, które mogą go podejść, od wewnątrz osłabić i zaskoczyć. A więc zalecamy wyraźnie: po pierwsze szczególną czujność i krytycyzm wobec naszych różnych partyjno-politycznych wielkości, własnych hurrapatrjotów i niebezpiecznych monopolizatorów religii katolickiej, która winna być ponadpartyjnym dobrem powszechnym; powtóre powszechną czujność wobec *wszystkich* sąsiadów, z bronią u nogi, bo tylko realna siła budzi respekt, a traktaty mają wówczas tylko prawdziwe znaczenie, jeżeli stoi za nimi realna siła; a po trzecie rozerwanie czerwonej wstęgi, rozciągającej się dzisiaj potwornie od brzegów Oceanu Spokojnego, przez północną Azję i środkową Europę aż po atlantyckie wybrzeża Hiszpanji, a wspomagana u nas, w Polsce, przez tych wszystkich, którzy, na fałszywym, zdawkowym oparciu patryjotyzmie i przytępieni upartymi doktrynami partyjnemi, albo wprost pełnią wolę Kominternu, albo nie zdają sobie sprawy z tego, że działają na szkodę państwa, narodu i religji.

Ostatnia już wybiła godzina — naprawdę ostatnia — aby tych wielkich, a często mimowolnych szkodników gruntownie unieszkodliwić.

A dziennikarze, którzy nadużywają przywileju wolności prasy do skalowania czci ludzkiej zapożyczą tak marnych i perfidnie wykrętnych sztuk, jak ta, której wobec nas się chwycili, niech pomną, że poniżając w ten sposób siebie i swój zawód, narażają go bezwarunkowo na upadek. Autorytet

prasy nie da się bowiem długo utrzymać sztucznym, pretensjonalnym giestem i frazesem, jeżeli gruntywać się zacznie w społeczeństwie coraz wyraźniejsze przeświadczenie, jakim to różnym celom i metodom „potęga prasy“ hołduje...

Dr. Jan Bobrzyński

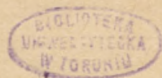
*Wydawca „Naszej Przyszłości“
Prezes Związku Polskiej Myśli Państwowej.*

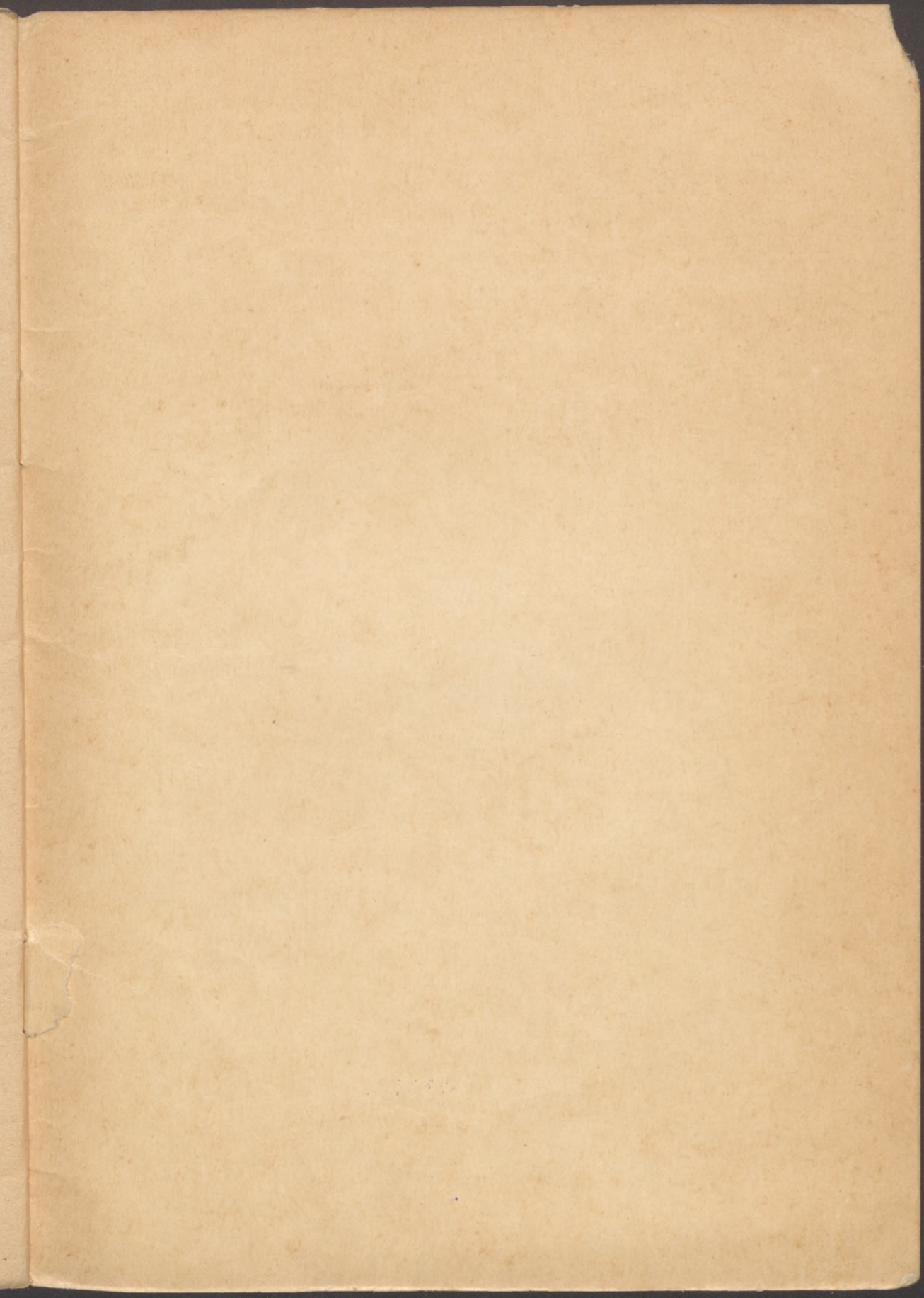
Biblioteka Główna UMK



300052018984

u 61337





B1337

Biblioteka Główna UMK



300052018984

